Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

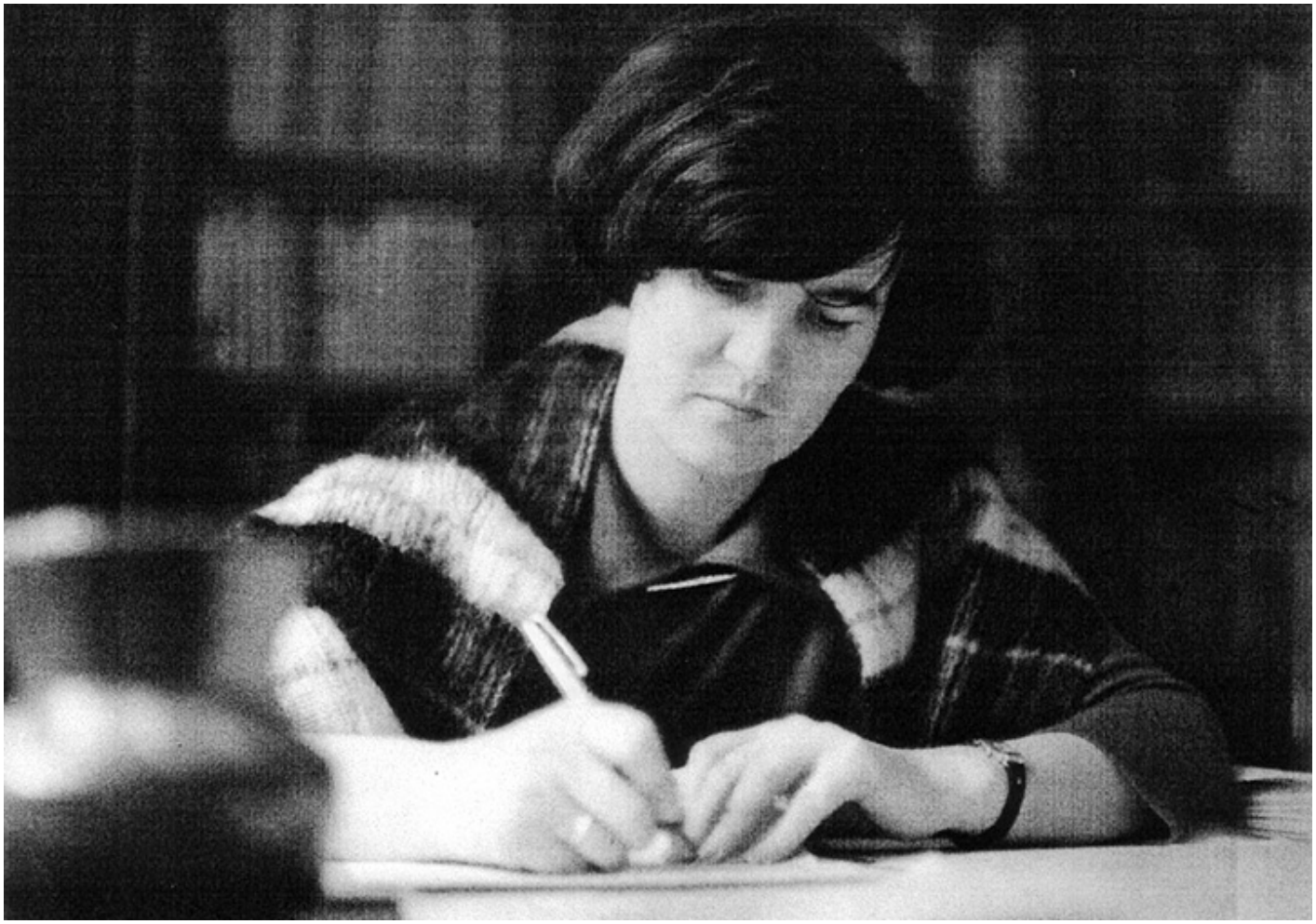

Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Teraz my staliśmy się uciekinierami. Były ich tysiące. Drogi zamieniły się w rzeki ludzi. Tłok byt tak wielki, że niepodobna było jechać. Można było zatratować żywych, popychających się wzajemnie, walczących o swoje miejsca, o prawo do istnienia. W jakim tempie mogliśmy się posuwać końmi niech zobrazuje postać górala w sukiennych, białych spodniach paradnych haftowanych w parzenice, w białej koszuli z ciupagą przez ramię, w kapeluszu czarnym z muszelkami ku ozdobie szedł boso, a buty dyndały związane sznurowadłami na plecach. Piękna, wełniana gunia niedbale zwisała z ramienia. Mijaliśmy się co jakiś czas, to on nas wyprzedzał, to my jego. Przy każdym spotkaniu unosił

kapelusz do góry i pozdrawiał.

Ludzie taszczyli tobołki, ciągnęli bydło, wieźli na małych, dziecięcych wózeczkach wszelaki dobytek. Kto czym mógł jechał, kto co miał zabierał ze sobą na wschód. Posuwała się ta masa ludzka i zwierzęca nieuporządkowana, nie do opanowania, niebezpieczna sama dla siebie. Posuwaliśmy się powolutku szukając ciągle możliwej przestrzeni. Był upał, niebo bezchmurne, paliło słońce bezlitośnie i co chwilę przelatywały nad głowami samoloty, które ostrzeliwały się na naszych oczach, dymiły i spadały płonąc na domy i drzewa. Grozę i niebezpieczeństwo powiększały jeszcze salwy z karabinów maszynowych.Na drodze panował straszny hałas i zgiełk, ludzie się gubili, krzyczeli, nawoływali, przewracali i popychali. Strzelano z góry do moich braci, bo byli w rogatywkach harcerskich w kolorze wojskowym. Osłoną były nam stogi siana. Jakoś dotarliśmy do rzeki o nazwie Ługa pod Uściługiem. Most był zerwany, więc przebyliśmy ją wpław nie szukając brodu. Konie omal się nie potopiły, a bryczka zanurzyła się w wodzie. Jej skrzyniowa konstrukcja uratowała mnie przed wypadnięciem, ale i tak wszystko pływało: moja lalka, Eli komódka, braci znaczki nie mówiąc już o jedzeniu załadowanym na wóz. Po drugiej stronie Ługi trafiliśmy na świeże pobojowisko. Była tam potyczka polskich wojsk napadniętych przez miejscowych Ukraińców. Pole bitewne usłane było oskalpowanymi trupami Polaków, rozrzuconymi nabojami, granatami i szczątkami ludzi i

umundurowania. Musieliśmy przez to wszystko przejechać. To było straszne. Później zbieraliśmy naboje, całe załadowane magazynkami, pomagaliśmy polskim żołnierzom. Leżało tam dużo granatów ręcznych. Podniosłam jeden w kształcie gęsiego jaja o rowkowanych podziałach. Bardzo mi się podobał i chciałam się nim pobawić, ale Witek już był przy mnie i szeptem kazał mi to ostrożnie położyć. Ze strachem, ale posłusznie to uczyniłam. Podobno był odbezpieczony. Cud! Dotarliśmy wreszcie do Uściługa, ale naszej rodziny, cioci Irki Wołowskiej już tam nie było. Uciekła do Zarzecza.

Więc i my pojechaliśmy do Zarzecza, majątku dziadka Stefana Taczanowskiego, brata naszej babci ze strony taty. Ciocię Irkę znaleźliśmy w wykopanym w ogrodzie rowie wielkości pojedynczego grobu. Tuliła maleńką, dwutygodniową Madzię w beciku. Babcia z półtoraroczną Danisią usiłowała we dworze spełniać normalne, codzienne, domowe czynności sama, bez służby. Nie pamiętam czy nocowaliśmy we dworze, czy pojechaliśmy dalej. Zapamiętałam szerokie plenery Wołynia, kopy siana na polach, może były to stogi koniczyny i sterty słomy, pod którymi chroniliśmy się dla odpoczynku. Nie wiem ile dni jechaliśmy i kiedy znaleźliśmy się w Biskupicach (lub Biskupiczach wg Aftanazego) należących wówczas do hr. Kaszyckiego, gdzie był nocleg w kącie dworskiej oficyny, pokotem na słomie. Karmiło nas wojsko polskie swoimi konserwami z grochówką i wieprzowiną. Biegaliśmy z braćmi

oglądać zestrzelony polski samolot „Karaś”. Właziliśmy do środka i nawet chłopcy zdobyli pierwsze i chyba jedyne trofeum wojenne. Była to mała lampka, a raczej szkiełko przykrywające, czerwone i wypukłe, wielkości orzecha włoskiego. Długo przewracało się w szufladce z rupieciami maminego biurka, teraz jest u Julka. Wszystko to, co się działo wokół nas było ogromnie interesujące i niezwykłe. Nie potrafiliśmy dzielić niepokoju matki i babki. W Biskupicach zamieszkaliśmy później w pałacu i byliśmy oprowadzani po pięknych ogrodach, gdzie hodowano nadzwyczajne gatunki róż oraz szparagi. Ogrodnik szczycił się wyhodowaniem odmiany tzw. czarnej róży, rzeczywiście była bardzo ciemnoczerwona. To wtedy, tam, w Biskupicach z rąk nobliwego dżentelmena (nie wiem kto to był) dostałam pierwszy kwiat w moim życiu – pąsową, pachnącą, cudowną różę.

Małżeństwo Eleonora i Józef Fabijańscy (mama i tata) w oczekiwaniu na potomka, moją starszą siostrę Elę, u cioci Helenki w Lublinie, 1924 r.

Dlaczego zawędrowaliśmy aż do Biskupic? – dlaczego nie do Zarzecza? – nie wiem. I nie chcę pytać rodzeństwa, zresztą, pewnie też nie wiedzą. Piszę swoje wspomnienia, to co zapamiętałam jako niespełna siedmioletnie dziecko. Szkoda, że nie zapamiętałam co mi się śniło, gdy spałam jedną noc w bryczce (o tym po latach powiedział mi brat Julek). To piękny i fascynujący przyczynek do życiorysu – gorąca noc pod wygwieżdżonym niebem we wrześniu 1939 roku na Wołyniu. W

mej pamięci to biała plama, ale może symbolicznie związana z późniejszym zawodowym życiem?

Po kilku dniach spędzonych w kwitnącym majątku, zapadła decyzja powrotu przez Włodzimierz Wołyński, gdzie mieszkała ciocia Janka, siostra taty z mężem, córką i matką. Był to już 18 września i wojska sowieckie nie wpuszczały nikogo do miasta. Witek, sprytny chłopak, przedarł się sam wykorzystując moment nieuwagi, a może łagodność i wyrozumiałość żołnierza. Dotarł, powiedział, że wracamy do Hrubieszowa i żebyśmy czym prędzej opuściły Włodzimierz.

Wróciliśmy szczęśliwie do siebie dzięki zaistniałej sytuacji, gdy Niemcy już byli, ale cofnęli się z Hrubieszowa, a Sowieci jeszcze nie doszli. W tym krótkim okresie kilku dni miasto było w polskich rękach.

Niestety, nasze mieszkanie zastaliśmy splądrowane, rozgrabione i w rozgardiaszu. Stały ogołocone ze wszystkiego meble i walały się puszki po konserwach niemieckich, wojskowych, a na stole pozostały butelki po winie, w których mama przygotowała sodę na maseczki przeciwgazowe. Wszystkie bowiem kobiety zostały przeszkolone na wypadek wojny i mama zrobiła duży zapas dla całej rodziny tego płynu, przecież nie do picia. Myślę, że skutki działania sody w żołądku żołnierze zapamiętali na całe życie.

***

Siedziałam na biurku mamy i patrzyłam przez okno jadalnego pokoju wychodzące na reprezentacyjny podjazd z okrągłym klombem kwiatowym i strzyżonym trawnikiem. Widać stąd było część ogrodu ze srebrnymi świerkami i szpalerem grabowym, krzewami magnolii i berberysu. Od ulicy oddzielało murowane ogrodzenie o żeliwnych sztachetach i takaż brama o dwu skrzydłach gościnnie otwartych. Szereg starych drzew jesionów i kasztanowców do dzisiaj jeszcze mówi o ważności tego dworu. Spod portyku było wejście do apteki i ludzie ciągle wchodzili i wychodzili. Szałwia się czerwieniła, aksamitki złociły, tylko trawa nie zawsze miała czystość i soczystość zieleni. Przerastał ją gęsto ptasi rdest, mniszek lekarski i babka lancetowata. Zwłaszcza ptasi rdest lubił sobie pohulać i wszędzie było go pełno.

To okno było moim ulubionym miejscem, zwłaszcza, że pod biurkiem, z mnóstwem ciekawych szuflad, było mieszkanie dla lalek. Teraz wszystkie uchwyty od szuflad były wyrwane, zameczki tudzież i tylko jedna szuflada nie została otwarta przez złodziei. Mama mówiła, że to cud. Właśnie w niej przechowywała biżuterię i w szkatułce relikwię – pamiątkę z pielgrzymki do Rzymu w 1925 roku. Tą świętością był gwóźdź ręcznej roboty, wykonany na wzór tych, którymi przybito Chrystusa do krzyża. Dokument po łacinie objaśniał i zaświadczał, że został potarty o prawdziwy, Chrystusowy. Mama owinęła go w jedwabną

chusteczkę i tylko czasem nam pokazywała. Fakt – tylko ta szuflada nie została zbeszczeszczona. Relikwię tę przechowuję ze czcią i przekażę któremuś z wnucząt.

Rodzina Fabijańskich w ogrodzie. Tata Józef, Witek, Ela, Julek, ja, mama Eleonora, Zamość 1936 r.

Po naszym powrocie przybyło polskie wojsko i rozłożyło się taborem w parku. Stały namioty, żołnierze jakby na luzie, a jednak czuwali – siedzieli na trawie, chodzili. W pewnym momencie w bramę wjechał kałmuk na małym, zwrotnym koniu. Miał na sobie szynel wojskowy z wiszącymi strzępami, które

zwisały dołem, jak frędzle, na sznurku zwisał bagnet, na głowie barankowa, kozacka (?) czapa typu papacha. Miał twarz azjaty, o wydatnych kościach policzkowych, płaskim, szerokim nosie i szparkowatych oczach. Miał w ręku pistolet, nagan rosyjski. Wyciągnął prawą rękę w górę i każąco krzyknął – „Ruki w wierch”! – Zaskoczeni żołnierze podnieśli się niepewnie i powoli unieśli ręce do góry na znak poddania się. Widać było osłupienie i przerażenie na twarzach. Może spodziewali się raczej Niemców, przecież z Sowietami nie mogli walczyć, bo taki był rozkaz Rydza-Śmigłego. Za kałmukiem wpadła cała horda dzikusów, którzy rozbrajali Polaków, zdzierali im naramienniki z dystynkcjami, deptali po nich, a odebrane karabiny kazali składać w kozły. Wszystkich Polaków wzięto do sowieckiej niewoli. Pierwszy obóz w Hrubieszowie zorganizowano na dziedzińcu szkół powszechnych, które mieściły się w ogromnym nowym budynku, daleko za mostem Chełmskim, w pobliżu przedwojennych koszar. Chodziłam tam cały rok do szkoły już po tzw. wyzwoleniu w 1944/1945 r.

Do dzisiaj prześladują mnie koszmarne sny związane z drogą, którą musiałam codziennie pokonywać, idąc na skróty dobrych parę kilometrów. Zawsze tam wiało, zwłaszcza na moście, a w czerwcu niemiłosierna spiekota. Niepotrafiła mi tego wynagrodzić malownicza Huczwa, do której od strony ulicy Kilińskiego schodziły pasami ogrody pełne zarośli, pochyłych drzew wierzbowych, kąpiących się malowniczo w wodzie, na

której kołysały się tu i tam małe czółna przywiązane linkami do drewnianych słupów i pomostów niczym w Wenecji. To do dziś bardzo piękny zakątek. Ulica Kilińskiego ma miękkość łuku, powtarzając zakole Huczwy. Od frontu domy przeważnie drewniane, stare, z ganeczkami i ogródki kwiatowe, za domami zieleń sadów schodzących aż do rzeki. Nie wiem doprawdy dlaczego w moich snach jest coś lękliwego, zwłaszcza w tym pokonywaniu mostu. – Tak często mi się śni…

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej w 2021 roku będą się ukazywać w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Zamość.

> Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

> Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Wywiad:

> Historia w karetach zaklęta

TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA *ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego*

Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „Yhe transport Museums", miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa" przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.